GŁOS POLSKI

POPULARNE NIEZALEŻNE PISMO TYGODNIOWE — WYCHODZI KAŻDEGO TYGODNIA W SOBOTĘ.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kalecza 4. | Nr. 36. 9. września 1928. Rok II. | Cena egzemplarza 20 groszy.

Skandaliczne rękoczyny w elektrowni lwowskiej!

Inżynier bije po twarzy inżyniera!

O egzystencję i życie człowieka.

Nie każdy człowiek stworzony jest do wielkich czynów i szczęśliwy ten, kto potrafi podporządkować się tej zasadzie. Uniknąć bowiem może w ten sposób wielu prawdziwie nieprzyjemnych chwil i zgryzot, które włosy srebrzą i twarz rzeźbią w bruzdy. Szczęśliwszy jednak stokroć jest ten, kto znajdzie w sobie tyle cywilnej odwagi, że w chwili opamiętania zawróci z drogi źle obranej, na którą wkroczył popchnięty może chwilową podnietą ambicji i chęcią wybicia się ponad zwyczajne po szachochownicy życia posuwające się szare pionki ludzkie. Czyż nie można zaczerpnąć w tym wypadku charakterystycznego przykładu z życia pszczół w ulu, w którym biegiem wypadków zabraknie królowej, a nieopatrzny bartnik w czas temu nie zaradzi? Oto jednej z małych robotnic-pszczółek, uwidzi się, że właśnie ją Opatrzność wybrała do królowania. Zaczyna więc na wzór królowej rządy sprawować, przyczem będąc małą, a chcąc okazać wielkość, nadymać się zaczyna, puszyć i brzęczeć. Pszczółki-koleżanki przechodzą wówczas krótkie okresy nasamprzód zdumienia, zaciekawienia i oczekiwania na cud metamorfozy, a wreszcie, gdy ten nie następuje, otaczają zwarjowaną pszczółkę ze wszech stron i popychają ku wyjściowemu oczku. Jest to dymisja i równocześnie banicja. Jeśli zaś owa pszczółka stawia opór, nie chcąc zrozumieć swej bezpłodności, traci życie, zakłuta żądłami tych, co przy zdrowych zostały zmysłach. Cóżby się bowiem stało, gdyby mądre pszczoły. zwołały sejmik, uchwaliły tolerencję dla dażdej zwarjowanej pszczoły? Łatwe do przewidzenia jest, że rój taki skazany byłby na niechybną zagładę. Przykład ów, z życia drobnych, pracowitych i mądrych owadów zaczerpnięty, jest tak wymowny, że jeśli tylko ludzie chcieliby o nim nie zapominać, nie jedną goryczy pełną chwilę życia, mogliby od siebie odsunąć. Jednakże mało nadzieji mieć można, by przykład nasz został należycie zrozumiany, gdyż duma i próżność ludzka stoi w odwrotnym stosunku do ich watości i rozumu.

Sztuka rządzenia wogóle jest jedną z najtrudniejszych umiejętności i do jej sprawowania potrzebne są zdolności prawie, że wrodzone, czego dowodem są obecne, na terenie M. Z. E. wytworzone stosunki. Każdy omal dzień przynosi świeże, coraz to ciekawsze nowiny, mniej lub więcej skandaliczne, których za dawnych czasów nie było, a czego obecna dyrekcja nie jest w stanie uniknąć. Kto twórcą jest źródła zła i choroby organizm toczącej, ten nie może nigdy stać się równocześnie lekarzem-uzdrowicielem. A teraz zapytamy, kto jest moralnym sprawcą skandalicznego zajścia, które miało miejsce dnia 30 sierpnia br. w godzinach popołudniowych między inżynierami M. Z. E.: Kozłowskim i Kwintowskim, którzy wzajemnie zapoznali swe policzki z najprostszem, początkowem pojęciem matematyki, to jest liczeniem ilości silnych w nie uderzeń? Oto cała historja, której treść naświetli dosadnie, do czego doprowadzić może brak walorów rządzenia i mściwość. P. Kwintowski, rodem ze Świątnik, a więc krajan obecnego dyrektora p. Dziewońskiego (a nawet — jak mówią ludzie — jego kuzyn), zaczął pełnić swe obowiązki w M. Z. E. w stacji silnic w Persenkówce od roku 1909. Dawny kierownik silnic, a obecny dyrektor, ogromnie popierał p. Kwintowskiego i za jego to staraniem p. Kwintowski posadę w M. K. E. otrzymał. — W tem miejscu musi się z naciskiem zaznaczyć, że p. Dziewoński, w chwili przyjęcia do stacji silnic p. Kwint., wiedział, jakie ów wykształcenie posiada, a więc nie może i nie ma prawa obecnie nieświadomością w tym względzie się zasłaniać. Na fakt ten kładziemy nacisk, gdyż posłuży on nam do naświetlenia sprawy w dalszym ciągu. — Przez kilka lat żyli obaj wyżej wspomniani w niezamąconej zgodzie i przyjaźni, a p. Dziewoński, jeśli kiedyś wypowiadał się o p. Kwint., zawsze jego pracę, znawstwo i użyteczność podnosił, czemu wkońcu dał dobitny wyraz przez zaproponowanie go na swego zastępcę, gdy sam w r. 1914 w chwili wybuchu wojny, jako oficer rezerwowy, do pełnienia służby wojskowej powołany został. W tym to czasie i po zlikwidowaniu inwazji rosyjskiej okazał p. Kwint. tyle samodzielności w prowadzeniu tak wielkiego objektu, że zyskał uznanie i liczne pochwały ze strony ówczesnej dyrekcji, do czego w $^3/_4$ przyczynił się p. Dziewoń., przejaskrawiając nawet znaczenie i fachowość p. Kwint. Zdumienie niepomierne ogarnęło więc wszystkich, gdy w kilka lat później zmienił p. Dziew. opinję o p. Kwint., którego zagraniczny patent inżynierski zaczął coraz więcej tracić na znaczeniu w oczach p. Dziew., aż doszło do tego, że w aktach urzędowych zaprzestał używać tytułu inżyniera, w odniesieniu się do osoby p. Kwint. i począł zwać go mniej zaszczytnem określeniem: urzędnika technicznego. Od tego czasu datuje się walka tych dwóch ludzi, walka jawna i skryta, a obie strony nie pomijają żadnej sposobności, by sobie wzajemnie zalać sadła za skórę (na wzór mazurów ze Świątnik). P. Dziew., który dawniej wszelkie tylko widział w p. Kwint. zalety, obecnie odmówił mu naraz i znawstwa fachowego i wszelkich innych przymiotów, któremi powinien się zastępca odznaczać. Dalecy jesteśmy od rozpływania się nad osobą p. Kwint., którego zalety koleżeńskie i przykre czasami usposobienie, dobrze dało się wszystkim we znaki. Trudno jednak zamilczeć, że p. Dziew. zanadto zrazu rozdmuchał znaczenie p. Kwint., by potem, skoro ten stał mu się niemiłym, w sposób mściwy to znaczenie umniejszać. I tak z dnia na dzień walka coraz to ostrzejsze przybierała for-

my, a prowadzona była pod znakiem: „kto kogo przetrzyma?“ P. Dziew., bliżej dyrekcji stojący, mając więcej wpływów, niejednokrotnie dał się dobrze p. Kwint. we znaki, który znów będąc o kilkanaście lat młodszym od p. Dziew., a więc wytrzymalszym, a przytem jako mazur niebywale upartym i zaciętym, w walce ani na krok nie ustępował, aż wkońcu p. Dziew. umknął do miejskich wodociągów, na czem o tyle skorzystał, że pobierał przez czas jakiś dwie pensje: jedną z Elektrowni, drugą z Wodociągów. W jakiś czas potem, na propozycję dyrekcji M. Z. E. objął p. Dziew. ich administrację, nie zapominając jednak o swym wrogu p. Kwintowskim, którego postanowił za wszelką cenę zgnębić. Jak to wyżej wspomniano, miał p. Dziew. duże wpływy w dyrekcji, których użył w tym kierunku, by p. Kwint. do cna życie zatruć, do czego podniecała go mściwa chęć odwetu. Plan polegał na przeforsowaniu w dyrekcji zasady, że stacja silnic w Persenkówce musi znaleść obsadę i kierownictwo tylko w osobie patentowanego inżyniera, co zresztą byłoby słusznem i zrozumiałem, gdyby w grę nie wchodziła walka na tle porachunków z p. Kwint. Przyjęto więc na kierownika stacji silnic na Persenkówce p. Kozłowskiego, inż. Elektrowni kolei państw. na Głównym dworcu. P. Kozłowski miał w tym wypadku odegrać rolę buforu między pp. Dziewońskim i Kwintowskim, z czego przez szereg lat wywiązywał się ku ogólnemu zdumieniu nie tylko bliższego, lecz i dalszego otoczenia, do tego stopnia dobrze, że stał się najdroższym przyjacielem i powiernikiem p. dyrektora Dziewońskiego, który jeśli popatrzył w zwierciadło, doznawał halucynacji, że widzi p. Kozłowskiego, częściej jednak, zdarzało się to drugiemu przyjacielowi, który, patrząc w zwierciadło, myślał o tytule dyrektorskim, przyczem nadmiernie napływała mu ślina z pod języka.

Dziwić się tylko należy, dla jakich powodów podjął się p. Kozłowski i dał się użyć za narzędzie w walce, której owoców najadł się do syta, a których tyloletnie spożywanie, częstych nabawiało go niestrawności. Jeśli w tej walce p. Kozłowski co utracił — to chyba na wadze, a jeśli wskutek walki coś nabył — to tylko ciemniejszy kolor wątroby, która prawdopodobnie i poczernieć musiała, gdy złość wyładować musiał w atakach walki z p. Kwint., w czem znaczną ulgę znachodził, jeśli P. Kwintowskiego stekiem ordynarnych wyzwisk obrzucał, a w czem p. Kwint. nie pozostał mu nigdy. ani o jedną sylabę danego słowa dłużnym. Rozpatrzywszy rzecz należycie i przenicowawszy ją na wszystkie strony, dochodzi się do przekonania, że p. Kozłowski, z tytułu odegrania roli buforu, żadnej nie osiągnął korzyści materjalnej, a stracił tylko niebywale na cennem swem zdrowiu, które gdyby w tej samej progresji i nadal miało wątleć, należałoby zaliczyć p. Kozł. do rzędu poświęcających się dla dobra bliźnich męczenników, idących z pogodnem czołem i z całą świadomością rzeczy na całopalenie. A potem „stroskany“ dyrektor zwołałby posiedzenie, na którem uchwalonoby dać wykuć popiersie, umieszczone dla większej chwały nie na Persenkówce, ani nawet na Gabrjelówce, lecz obok III remizy przy ulicy Gródeckiej. Tak tedy rola buforu, której podjął się p. Kozłow., była czysto idealnej natury, z małą domieszką uczucia pożądania czegoś, co się w swych myślach bardzo wypieściło.

Na ogół nie słodkie było życie p. Kozłow. z p. Kwint., który czując ściskanie buforu, przeciwstawiał się wszelkimi sposobami, jakie mu do dyspozycji pozostawały. Miotał się więc od czasu do czasu, jak ryba w saku, wycinał sążniste raporty do Prezydjum Magistratu, w których donosił o rzekomych nadużyciach majstrów i innych z pośród ludzi pracujących w stacji silnic, przyczem żarła go zgryzota i cierpiała ambicja, którą kiedyś nieopatrznie rozdmuchano, a potem dla dogodzenia czyjejś zemście na gwałt gasić poczęto. Ażeby ogień ambicji skutecznie zagasł, tłumił go ściskaniem z jednej strony bufor-Kozłowski, z drugiej majstrowie, z którymi p. Kwint, na swe nieszczęście, nie potrafił od samego początku serdecznych nici nawiązać, z trzeciej—część podjudzonych robotników, a z czwartej—część urzędników—zwolenników tego bloku. Tak tedy uczuł się p. Kwintowski opuszczony prawie od wszystkich i osaczony ze wszech stron, jak zaszczuty jeleń w kniei. W tymże właśnie momencie myśli dobry myśliwy o ostatniem uderzeniu, które ma śmierć zadać. Uderzenie to następuje w maju b. r., przez zarządzenie dyrekcji M. Z. E., na mocy porozumienia z Komisarjatem Rządu, któremu p. Dziewoń. wymalował portret p. Kwint. kolorami, jakie mu dogodnemi się zdały, pomijając w zupełności tło, a którem to zarządzeniem usuwa się p. Kwin. z zajmowanej placówki i przenosi się go na inne miejsce (prawdopodobnie do urzędu budowniczego, dział drogowy), gdzie nie podobna byłoby mu należycie wykorzystać swych fachowych wiadomości i gdzie zeszedłby do rzędu ludzi wykolejonych i zmarniałych, zabitych w swej ambicji, z poczuciem ciężkiej krzywdy, którą cierpieć musiałby dla dogodzenia chęci zemsty kogoś, który planowo i celowo wytężał siły i wpływy w tym kierunku przez lat wiele, by go unicestwić. Niechaj szanowni czytelnicy wyobrażą sobie człowieka w takim stanie rozterki duchowej, będącego w pełnej świadości, że został pokonany, który od maja aż po czas obecny, nosi w sobie zarody choroby, której na imię... „krzywda“ i w tejże chwili bufor Kozłowski zaczyna działać i prowokować. Któż zdziwi się, że w tym momencie samowiedza człowieka zanika, a wskutek tego zanika też wrażliwość na poczucie odpowiedzialności, a krzywdzony popada w szał, który kończy się czynną obelgą?. Kwestję kolejności winy, z punktu patrzenia wszystkich ludzi zacnych, szanujących prawdę i sprawiedliwość, należałoby ustalić w następujący sposób: 1) Faktyczną winę ponosi i moralnym sprawcą całego zajścia, ze względu na tło sprawy, jest bezprzecznie dyrektor Dziewoński. 2) Drugorzędnym winowajcą jest inżynier Kozłowski, który dał się użyć za narzędzie w celu dogodzenia chęci zemsty. 3) Winnym również, lecz najmniej w tym szeregu, jest p. Kwintowski, który wyrzucony z równowagi prowokacją doznaną ze strony inż. Kozłowskiego, w poczuciu doznanej krzywdy i wieloletniej nagonki, skierowanej na niego i zorganizowanej celowo i planowo, by zatruć mu życie i wykurzyć z zajmowanej placówki, dokonał czynnej obelgi na osobie inż. Kozłowskiego, który w owej chwili nie był już jego przełożonym, bowiem od maja b.r. p. Kwintowzki władzy jego nie podlegał. A teraz jeszcze kilka słów pod adresem p.p. Dziewońskiego i Kozłowskiego, których chcielibyśmy zapytać, czy postępowanie ludzi, mających pretensję do zajmowania wysokiego szczebla w hierarchji społecznej, było wobec p. Kwintowskiego poprawne, godne, sumienne i niestojące nigdy w sprzeczności z kodeksem ludzi honoru? Czy obaj ci panowie, którzy wobec ludzi z towarzystwa, a w szczególnie wobec kobiet, uchodzą za rycerzy peur et sans reproche, godną zachowali taktykę w walce z p. Kwintowskim? A jeśli sumienie na oba pytania odpowie im „nie“, wówczas z pewnością policzki ich zapłoną bardziej widocznym rumieńcem, niż to wywołuje siarczysty policzek w czasie czynnego znieważenia.

Panama kolejowa niszczy skarb Państwa!

Rewelacje z za kulis tajemniczej afery w lwowskiej Dyrekcji kolejowej.

Rewelacje nasze o olbrzymich nadużyciach na kolei na szkodę Skarbu Państwa Polskiego—w dalszym ciągu nie przestają alarmować całego ogółu kolejarzy lwowskich, którzy z całą energją potępiają winnych, gdyż ogół patrjotycznych pracowników kolejowych brzydzi się ogarniętą korupcją, a dobrze sobie znaną kliką. Sądzimy, że odnośne decydujące czynniki dziś już przez palce nie patrzą na poruszoną sprawę, ale zabrały się do energicznego śledztwa, mającego na celu ratowanie Skarbu Państwa przed zamachem zgangrenowanych jednostek. Dziś już możemy powiedzieć, że wynikły z naszych rewelacyj popłoch wśród sprawców nadużyć spowodował obawę przed kontynuowaniem ich i że „Głos Polski“ śmiałem poruszeniem sprawy uchronił Państwo od dalszych strat. Tymczasem — jak długo nie ujrzymy konkretnych wyników, t. j. usunięcia pewnych jednostek z dotychcz. podwórka, a zastąpienia ich ludźmi bezwzględnie znanymi z czystych jak kryształ zasad pracy dla dobra skarbu kolejowego, nie dla własnych zysków, tak długo dalej kontynuować będziemy naszą akcję sanacyjną i stawiać dowody, że naprawa zabagnionych stosunków jest konieczna. Na dziś przytoczymy ponownie garść przykładów. Przyjaciółmi pewnego radcy są dwaj konduktorzy żydzi. Niedawno rewizor A. wyłapał jednego z nich w pociągu nr. 215 w nocy, na przewożeniu kilku podróżnych żydów ze Lwowa do Tarnopola bez biletów. Sprawcy nic złego nie stało się mimo, że ministerstwo komunikacji wydało okólnik, że należy za każde przekroczenie podobne wytoczyć dyscyplinarkę. Jest kilku rewizorów już emerytowanych, którzy jednak mimo to robią dalej nad użycia. Inni znowu mimo że są w czynnej służbie, nie rewidują konduktorów, ponieważ są z pewnemi jednostkami w porozumieniu i raportów na nie nie składają, przeciwnie — rewizora sumiennego, który wykrywa nadużycia i o nich w interesie skarbu — donosi, wyśmiewają za jego plecyma, jak to n. p. miało miejsce z konduktorem P. Koduktora tego przyłapał na nadużyciach rewizor K., gdy jednak wmieszali się w tę sprawę panowie H. i F., ściągniętego ze służby konduktora dano z powrotem do pociągów osobowych a nadto H. i F. odpowiedzieli rewizorowi K. na pytanie, dlaczego tak się stało, słowami: „bo nam się tak podobało“. Jeszcze inny żyd konduktor był pod zarzutem znacznych nadużyć przy pociągach osob. i został przyłapany przez rewizora P. na fakcie pobrania dolarów od emigrantów wracających z Ameryki. Skutkiem tego był przez kilka lat suspendowany, a nawet dostał pól roku więzienia. Wniósł rekurs, sąd mu to zniósł, a kolej po dyscyplinarce go uwolniła i dano go z powrotem do pociągów osob. Jechał więc pewnego razu ze Lwowa do Warszawy pociągiem pospiesznym 904 i wiózł kilku żydów w I. klasie bez biletów. Przyłapał go na tem rewizor dyrekcji radomskiej. W Lublinie został przez naczelnika stacji, dyżurnego ruchu i rewizora pociągu ściągnięty ze służby i odesłany do Lwowa. Rewizor dyrekcji radomskiej, zrobił doniesienie do dyrekcji radomskiej, a ta doniesienie to odesłała do dyrekcji lwowskiej, ale zamiast do prezesa Morawiańskiego, akt zawędrował niewiadomo którędy do p. L. Ten dał akt panu S., ten zaś długo trzymał akt u siebie, aż dyrekcja radomska zaczęła urgować. Wówczas odesłano akt do śledztwa. W sprawie tej interweniował em. rew. C. Innego konduktora przyłapali rewizorzy F. i P. w pociągu 1614 na Łyczakowie na gorącym uczynku sfałszowania zeszytów dopłat. Mianowicie kilka kopij wskazywało na większą kwotę, oryginały na zaś na mniejszą o kilkadziesiąt zł. Zamiast sprawcę aresztować i zwolnić ze służby, nie wszczęto nawet śledztwa dyscypl., konduktor ten zaś jeździ nadal bezkarnie. Inny konduktor przy pociągu 2443 Krystynopol—Sokal — wiózł 7 osób bez biletów. Powyższą aferę ujawnił rewizor K., wmieszał się w to jednak p. F. i sprawcy włos z głowy nie spadł. Pewnego razu podjechało trzech rewizorów furą do Hermanowa, a to pp. K., W. i F. i przyłapali w pociągu 1614 przeszło 30 osób bez biletów. Żadnemu z winnych konduktorów nic się nie stało. Ci sami rewizorzy podjechali innym razem pod pociąg 1614 jadący z Zadwórza do Przemyślan, zamknęli dworzec przy pomocy 7 posterunkowych, naczelnika stacji i dyżurnego ruchu w Przemyślanach, i przyłapali 18 osób, które wskazały palcem na konduktorów, którym zapłaciły za przejazd, a nie otrzymały biletów. Sprawców ściągnięto początkowo do pociągów towarowych, śledztwa dysc. jednak im nie wytoczono a dziś jeżdżą oni znów z powrotem w pociągach osobowych. Dalsze rewelacje w toku badania.

„Elektrownia — czy restauracja?“

Jak komisarz Strzelecki zepsuł apetyt Komisji elektr. przed bilansowem?

czyli tragiczny epilog wielkiej uczty w elektrowni lwowskiej.

Przed miesiącem poruszoną została w naszem piśmie sprawa „bilansowego“ w M. Z. E. Błogosławione skutki naszej sanacyjnej akcji są aż nadto widoczne, a chociaż dyrekcja zżyma się i dąsa i nie chce jeszcze całkowicie uznać odpow. sposobu załatwienia tych spraw odnośnie do formy, uważamy to tylko za pewne odruchy fałszywej ambicji, która daj Boże w niedługim już czasie ustąpi miejsca poprawnym stosunkom. Dopóki to jednak nie nastąpi, będziemy podnosić każde niedomaganie, aż tchnienie niestosownych zwyczajów wygonimy z Zakładów i dopóki nie wrócą stosunki, które panowały za czasów rządów ś. p. Dyrektora TOMICKIEGO. Artykuł nasz w sprawie „bilansowego“ był niczem innem, tylko zgodnym głosem przeszło 1700 ludzi zajętych w M. Z. E. Zarówno Komisarjat Rządu, jak i dyrekcja M. Z. E., zrozumiały, że dalsze przewlekanie sprawy może się stać groźną ewentualnośnością, dlatego zwołano członków Komisji elektr. do odbioru bilansów M. Z. E. za rok 1926/8 na sobotę 25 sierpnia b. r. o godz. 6 wiecz. Dyrektor Dziewoński i buchalter Ługowski uznali za stosowne wyprawić dla Komisji „bibę“. Szarpnął się więc p. Dziewoński i z własnych „skromnych“ funduszów dał 200 zł. na sprawienie „biby“. Zakupiono trunki. kanapki, torty i t. p. smakołyki, które pozostawiano na stole w jednym z bocznych apartamentów p. Ługowskiego. Członkowie Komisji są prawie w komplecie, brak tylko przewodniczącego, na którego wszyscy niecierpliwie czekają. Wtem otwierają się drzwi i zjawia się sam Komisarz Rządu p. Strzelecki, którego tu i o tej porze najmniej się spodziewano. Konsternacja. Komisarz kazał się oprowadzić po biurach i przy tej sposobności natknął się na ubikację, w której stał suto zastawiony stół. Zdumiał się p. Komisarz i wyrzekł: „Czy to biuro, czy restauracja?“ poczem wyszedł pośpiesznie. Po takim incydencie stracono apetyt, a członkowie Komi-

sji po zbadaniu i podpisaniu bilansów rozeszli się, nie tknąwszy ni jadła, ni napojów. A teraz kochani czytelnicy, natężcie uwagę, bo nastąpi coś bardzo ciekawego. Łatwo zrozumieć, że za 200 zł. jadła, to kupa jedzenia, która pozostawiona w spokoju, mogłaby ulec zepsuciu. Więc p. buchalter, nie chcąc dopuścić do takiego zmarnowania darów Bozych, sprosił swą Bożą czeladkę, która wnet unicestwiła wszelkie kanapki i torty, popijając nektarem, który w wulgarnym języku nazywamy „wódecznością“. Któżby nie jadł, gdy go proszą, a szczególnie, gdy płacić nie trzeba... Jakież jednak zdziwienie ogarnęło wszystkich, którzy w uczcie udział wzięli, gdy we wtorek, t. zn. w dniu wypłaty „bilansowego“, wygłosił p. buchalter do swej Bożej czeladki mowę, której treścią było, że wypada za zjedzone kanapki i wszystko inne zapłacić. (Co za dbałość o dyrektorskie finanse). Mówiąc to, sięgnął do kieszeni i położył 20 zł., oceniając mniejwięcej w ten sposób ilość zjedzonych przez siebie smakołyków. Uczestnicy pełni zdumienia, popatrzyli jeden na drugiego, jakgdyby w oczach swych wzajemnie szukali rady, a potem każdy z nich również złożył na stole banknot. Pan buchalter Ługowski zebrał złożone pieniądze i udał się do p. dyrektora Dziewońskiego... na ważną konferencję...



Redaktor naczelny, odp. i wydawca: ST. RAYSKI. Z drukarni „Mieszczańskiej“, Lwów, Piekarska 17.